

**STEFAN  
ŻEROMSKI**

LUDZIE

BEZDOMNI,

TOM DRUGI

Stefan Żeromski

**Ludzie bezdomni, tom drugi**

«Public Domain»

**Żeromski S.**

Ludzie bezdomni, tom drugi / S. Żeromski — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

## Содержание

Tom II	5
Pocziwe prowincjonalne idee	5
Starcy	12
„Ta łza, co z oczu twoich spływa...”25	20
O świecie	24
Конец ознакомительного фрагмента.	26

# Stefan Żeromski

## Ludzie bezdomni, tom drugi

### Tom II

#### Pocziwe prowincjonalne idee

Doktor Judym niemało miał pracy w czasie sezonu. Zrywał się rano, tym skwapliwiej, że już przed godziną szóstą jego izdebka pod blaszanym dachem, dokąd w czerwcu ze wspaniałych salonów wyniesiono jego „lary i piernaty”<sup>1</sup> – wprost tliła się od żaru. Notował na stacji meteorologicznej, zwiedzał izby, gdzie kąpielowi stosowali „zabiegi” hydropatyczne, badał porządek w łazienkach, u źródeł, a przed ósmą był w swoim szpitalu.

O dziesiątej siadał w gabinecie i przyjmował pewną kategorię chorych (przeważnie młodych zdechłaków) aż do godziny pierwszej. Po obiedzie zajmował się bawieniem dam, uczestniczył w organizowaniu teatrów amatorskich, spacerów, przeróżnych rekordów, wyścigów pieszych itd. Zabawki tego rodzaju musiał traktować jako pracę swą obowiązkową, czy do nich miał chęć, czy nie.

Pochłonęło go to jak nowy żywioł.

Otaczały go roje kobiet młodych, zdenerwowanych, rozpróżnionych, żądnych tzw. wrażeń. Judym przedzierzgnął się, sam nie wiedział kiedy, w młodego franta, odzianego modnie i paplającego wesołe komunały. To zabawne, ciekawe, miłe a deprawujące życie małej stacji klimatycznej, gdzie w ciągu kilku miesięcy gromadzi się i skupia w jedną jakby rodzinę ze wszystkich końców kraju i ze wszelkich sfer towarzyskich ludność chwilowa – oszołomiło go zupełnie. Ni z tego, ni z owego bawił się towarzysko z bogatymi damami i wchodził, nie dość że jako świadek, ale jako arbiter w najsekretniejsze ich tajemnice. Był poszukiwany, a nawet wzajem wydzierany sobie przez „koterie” – a nieraz ze śmiechem wewnętrznym decydował o czymś, co sam zwał tonem i smakiem.

Czasami, gdy do siebie wracał późno w nocy z jakiejś pysznej uciechy, zastanawiał się nad pięknnością życia, nad tymi nowymi jego formami, które poznawał. Zdawało mu się, gdy o tym świecie Cisowskim myślał, że czyta romans z końca zeszłego wieku, pełen somatyzmu<sup>2</sup>, gdzie widać życie godne zniszczenia, które wszakże posiada jakiś taki urok... Siła zmysłów, umyślnie w piękne formy skryta, staje się czymś nie znanym dla ordynarnej, zwyczajnej natury. Były chwile, że wprost zachwycał się wymową dyskretnego milczenia, symboliką kwiatów, barw, muzyki, słów ciągle bojących się czegoś...

Na balach i reunionach<sup>3</sup> bywał czasami i „pałac”. Wówczas berło królowej przechodziło do rąk panny Natalii. Gdy ukazywała się w jasnej sukni, była tak oślepiająco piękna, że wszystko, co żyło, na śmierć się w niej kochało. Ona przeczuwała zapewne ten szal masowy, który wśród mężczyzn szerzyły jej królewskie oczy, ale nie raczyła go widzieć. Była zawsze zimna, obojętna, jakby wyrwana z tego życia. Czasami bawiła się z większą ochotą; uśmiechała powabnie, ale zaraz później, gdy tylko dostrzegła, że ten lub ów chce z chwilowego jej usposobienia wyciągnąć wniosek na swoją korzyść, sprowadzała go na padół jednym spojrzeniem i jednym uśmiechem innego rodzaju.

Było tak i z Judymem.

---

<sup>1</sup> *lary i piernaty* – żartobliwie przekreślony zwrot: *lary i penaty*, co w wierzeniach starożytnych Rzymian oznaczało: opiekuńcze bóstwa domowe. [przypis redakcyjny]

<sup>2</sup> *somatyzm* – cielesność. [przypis redakcyjny]

<sup>3</sup> *reunion* (z fr.: *réunion*) – zebranie towarzyskie. [przypis redakcyjny]

Rozzuchwalony powodzeniem u dam dr Tomasz zbliżał się śmiało do panny Natalii. W trakcie jednego z reunionów wybrała go kilkakrotnie, wesoło się z nim bawiła, sama wspomniała o Paryżu i wycieczce wersalskiej. Judymowi zakręciło się w głowie. Wzburzony tym wszystkim, w jakimś obłądnie śmiałości zdecydował się wykonać istny zamach i w następnym kontredansie począł mówić o Karbowski, którego od paru tygodni nie było w Cisach. Panna Orszeńska zgadzała się, gdy mówił, że ten Karbowski nie wydaje mu się być człowiekiem sympatycznym, witała jego słowa za pomocą krótkich skinień głową i dyskretnych okrzyków. Flirt wesoły trwał w dalszym ciągu. Tylko gdy później doktor zbliżył się jeszcze i, zachęcony sukcesem, chciał rzecz ciągnąć dalej już nie o Karbowski, lecz o sobie, struchlał ujrzawszy w jej oczach taki blask ponurej dumy, jakiego jeszcze nie widział w życiu. Zdawało mu się, że ten wzrok hetmański, ubliżający mu bez wzruszenia, z głębi przymkniętych powiek wbija się w niego i szarpie na sztuki, rozdziera na strzępy, podobnie jak pazury orlicy ćwiertują<sup>4</sup> żywą zdobycz. Słowa, które chciał powiedzieć, zwinęły się i niby garść pakuł utkwiliły w gardle.

Blady, ze ściśniętymi zębami, siedział jak przykuty na łańcuchu, nie będąc w stanie ani odejść, ani pozostać.

Wszystkie te okoliczności stawały doktorowi na przeszkodzie w zajęciu się sprawami szpitalnymi. Były w nim tego lata jak gdyby dwa prądy ścigające się wzajem. Im bardziej jeden z nich pomykał naprzód i zabiegał drogę, tym mocniej natężyły się siły drugiego. Doktor czuł w sobie ciągłą przeszkodę w staraniu około chorych i zwalczał ją za pomocą silnej pracy, ale skoro tylko zetknął się ze światem zabaw, ulegał mu z tym większą bezwładnością, im namiętniej pracował w szpitalu. Było mu wszakże z tym wszystkim bardzo dobrze na świecie. Żył bez przerwy i nie miał wcale wyobrażenia, co to jest refleksja, nuda, zniechęcenie.

Szpital powstał właściwie dopiero przy nim. Budynek stał od lat kilku, dźwignięty przez „idealistę” Niewadzkiego, ale po jego śmierci traktowany był rozmaicie. W razie potrzeby administrator majątku składał w salkach szpitalnych buraki, rozsypane klepki kuf z gorzelnii, zepsute części młockarni itd. Kiedy indziej lokaje, rządca, ekonom, kasjer i inni funkcjonariusze pożyczali dla swych gości łóżek, a naczynia i utensylia<sup>5</sup> rozkradziono ze słowiańską starannością. Nieraz leżała tam jakaś bezdomna położnica, nad którą ktoś się *wziął i zlitował* – jakiś parobek folwarczny chory na *kolki* albo jakie dziecko z ospą...

Opiekę nad szpitalikiem sprawował dr Węglichowski. Kłamałby, kto by twierdził, że dyrektor zgadzał się na składanie w szpitalu kup żelastwa, owszem, wyznać trzeba, że czasami śmiał się z tego do rozpuku, ale nie można również utrzymywać, żeby się zajmował chorymi. Gdy ktoś był bardzo kiepski, a złożono go w szpitaliku dla „umiejscowienia zarazy”, dr Węglichowski czasem przyszedł i skrobnął receptę. Zwykle nawet pomagało jego lekarstwo.

Częstokroć wynajdywał jakieś cherlactwo proboszcz, panny albo sama babka dziedziczka. Wówczas pakowano takiego szczęśliwca do szpitala. Jeżeli to był pupil księdza, to z plebanii przynoszono mu talerz rosołu albo jaką nogę kury gotowanej w potrawce. Jeżeli protegowany miał za opiekunki panny ze dworu – zajadał najpyszniejsze ochłapy z półmisków, częstokroć ze szkodą zdrowia.

W ogóle ten domek szpitalny stojący w odosobnieniu, a wśród budynków folwarcznych, służących do wytwarzania zysku sposobami wiadomymi, reprezentował na skromną skalę los szlachetnej idei wśród świata materialnego. Stał smutny, opuszczony, bezradny, nieśmiały, jakby z założonymi rękami. Dr Tomasz ulegał głębokiej, a nie dającej się stłumić pasji, ilekroć zbliżał się do tego domostwa. Kiedy myślał o człowieku, który je postawił w pewnym celu, który przemyślał długo, jak to należy zbudować, i gdy z tym wszystkim zestawiał rezultat przedsięwzięcia, czuł taką wściekłość, jakby go tamten nieznanym zmarłym biczował słowami pogardy. I nie tylko to jedno.

---

<sup>4</sup> *ćwiertują* – dziś popr.: *ćwiartują*. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> *utensylia* (z łac. *utensilia*) – rzeczy użyteczne; narzędzia, sprzęt, przybory. [przypis edytorski]

Skoro urządził sobie z pierwszej widnej salki gabinet przyjęć, od razu zwałała mu się na kark lawina Żydów, dziadów, obieżyświatów, biedaków, suchotników, rakowatych – wszystko, słowem, płacząca krwawymi łzami bieda polskiego cuchnącego miasteczka i nie inaczej cuchnących wiosek. Doktor rozsegregował ten materiał i zabrał się do niego. Jednych musiał przyjąć do szpitala na czas pewien, trzeba więc było uporządkować sam szpital. Do tego wziął się *par force*<sup>6</sup>.

Odszukał przez płatnych agentów każde z wywleczonych łóżek i odebrał je w sposób najbardziej nieubłagany. Historia zdobywania nowych sienników, kołder, poduszek, prześcieradeł – mogłaby zająć tom *in folio*<sup>7</sup>. Na kupno dwu wanien i urządzeń do ogrzewania wody grały teatr amatorski najpiękniejsze i najbardziej dystygowane kuracjuszki. Każdy sprzęt do gabinetu, apteki, kuchni itd. młody eskulap zdobywał na ludziach. Tu wycygał sześć talerzy, tam wyflirtował noże, widelce, łyżki; tę zmusił do kupienia szklanek, z kim innym wygrał zakład o sztukę perkalu na bieliznę szpitalną. Stara pani dziedziczka interesowała się zabiegami młodego doktora, nawet miała dla niego łzy w oczach i podziękowania „w imieniu nieboszczyka”, ale sama była pod tak silnym wpływem plenipotenty, który nie cierpiał tych fanaberii rozgrymaszających parobków, że od siebie nic wielkiego uczynić nie mogła.

Bądź co bądź na jej zlecenie otoczono terytorium szpitalne nowym, silnym parkanem i wydano rozkaz ogrodnikowi, ażeby starannie utrzymywał sad dookoła budynku. To była pierwsza ważna zdobycz, gdyż od tej chwili panem owego *templum*<sup>8</sup> okolonego parkanami stał się Judym. Nikt tam już ze służby i rozmaitych przychodniów nie miał prawa nie tylko nic wynieść, ale nawet postawić kroku. Drzwi kute były szczelnie zamknięte i uzbrojone w dzwonek...

Drugą ważną zdobyczą była pani Wajsmanowa. Osoba ta była wdową po jakimś „mężu nieboszczyku”, który posiadał „pewien kapitalik”, wszakże w tym czasie pozbawioną jakiegokolwiek funduszu. Pani Wajsmanowa przyjęła miejsce dozorczyńi szpitala z pensją 400 rubli (którą, rzecz prosta, z „cichej kasy” pod najtajemniejszym sekretem wypłacał z pedantyczną regularnością za pośrednictwem Judyńi M. Les) – z mieszkaniem, światłem, opalem, co wszystko znowu wzięło na siebie dominium.

Trzecim faktem fundamentalnego znaczenia było zaopatrzenie chorych kurujących się – w żywność. Tu Judym postępował jak Makiawel<sup>9</sup>. Działał na plenipotentę-materialistę za pomocą nastawionych kuracjuszek, dopuszczał się względem niego niskiego pochlebstwa, kusił go obietnicami, wreszcie wydał go w ręce trzech panien z pałacu i uzyskał swoje. Plenipotent zgodził się dostarczać szpitalowi jak rok długi określoną ilość kartofli, mąki, kaszy, mleka, masła, warzyw, owoców etc. i podpisał własnoręcznie cyrograf chytrze ułożony przez Judyńi. Zakład leczniczy nie był w stanie odmówić swej pomocy, w pewnej zresztą mierze. Wreszcie proboszcz, dostawca mięsa do zakładu i dworu, bogatsi łyczkowie z miasteczka, zniewoleni przez proboszcza i doktora, obowiązali się dawać szpitalowi potrzebne materiały spożywcze w naturze.

Tak tedy już w połowie lata szpital był ożywiony i pełen zdechactwa. Kaszlano tam, stękano, sapano – aż się doktorskie serce radowało. W ogródku wygrzewały się na słońcu stare, uschnięte babska, zgniłe dzieci dygocące w potach malarii, rozmaite „głupie” Żydki i wszelkie inne ptaki niebieskie, co ani sieją, ani orzą... Nie było tygodnia, żeby doktor nie palnął operacji. Wycinał kaszaki, bolączki, wiercił, przekławał, ekstyrpował<sup>10</sup>, urzynał, przylepiał itd. Co było w

---

<sup>6</sup> *par force* (fr.) – siłą. [przypis redakcyjny]

<sup>7</sup> *in folio* (łac.) – dosł. w formacie arkusza; największy format, w jakim drukuje się książki. [przypis redakcyjny]

<sup>8</sup> *templum* (łac.) – świątynia, przybytek. [przypis redakcyjny]

<sup>9</sup> *Makiawel* – Niccolò Machiavelli (1469–1527), włoski historyk i pisarz polityczny. W swym dziele *Książę*, dokonując na podstawie panujących stosunków analizy mechanizmu rządzenia, stwierdzał, że polityk nie cofa się przed użyciem podstępów i przemocy dla osiągnięcia zamierzonych przez siebie celów. W opisanej przez Machiavellego praktyce działania doszukiwano się powszechnie dyrektywy postępowania dla władcy. [przypis redakcyjny]

<sup>10</sup> *ekstyrpować* (z łac.: *extirpare*) – wycinać. [przypis edytorski]

tym wszystkim istotnie złego, to brak pomocy felczerskiej i przechodzące wszelkie granice ubóstwo narzędzi oraz środków opatrunkowych.

Pani Wajsmanowa nie znosiła widoku krwi (osobliwie chłopskiej i, *horribile dictu!* – żydowskiej), brzydziła się tułatajstwem i w ogóle gardziła motłochem. Doktor musiał ją na każdym kroku pilnować i przymuszać do tego, żeby się strzegła objawów wzgardy dla chłopów.

Sfery „miarodajne” kierujące zakładem leczniczym przypatrywały się działalności młodego chirurga, jeśli można się tak wyrazić, spod oka. Nie można mówić, żeby ktokolwiek sprzeciwiał się albo nawet miał za złe Judymowi jego postępowanie, ale z drugiej strony nie można utrzymywać, żeby ktokolwiek podzielał jego w tej sprawie entuzjazm. Dr Węglichowski wszelkie zabiegi swego asystenta zdążającego do postawienia szpitala na stopie tak niebywalej traktował w sposób tak samo ironiczny, jak rozkradanie przez lokajów łóżek szpitalnych. Jeżeli Judym domagał się pomocy czynnej w materiałach, dr Węglichowski zgadzał się postępując i wydzielał ilości, rozumie się, do najwyższego stopnia zmniejszone. Gdy szpitalik był naładowany, dyrektor doświadczał niesmaku, choć tego nie dał poznać nikomu ani uczuć Judymowi. Ale żarty z zapalczywości „ordynatora” brzmiały wówczas w ustach dra „Węglicha” w sposób pobłażliwy, może cokolwiek zanadto przesadnie. Od czasu do czasu stary medyk zachodził do szpitala i po dawnemu tam rządził. Wkraczał do izb w kapeluszu na głowie, z cygarem w ustach, mówił głośno, zadawał pytania, zżymał się, łajał panią Wajsmanową, pokrzykiwał na chorych i, zbadawszy przelotnie tego i owego, kreślił szerokim pismem recepty albo radził Judymowi, żeby temu dać to, innemu tamto...

„Ordynator” słuchał tych rozkazów z najzupełniejszym posłuszeństwem i każde zlecenie wykonywał w sposób nieodwołalny. Chodziło mu o zyskanie dra Węglichowskiego dla idei szpitala, o wciągnięcie go do pracy, toteż puszczał mimo uszu żarty i przepisy, na które się nie godził. Jeżeli nawet dyrektor kazał kogoś znanego sobie, jakiegoś „ptaszka”, wydalic bez pardonu z granic szpitala, Judym i wtedy zmuszał się do uległości. Taki stan rzeczy trwał do końca sierpnia.

W ostatnich dniach tego miesiąca liczba gości zaczęła się zmniejszać. Bryki, powozy i omnibusy zakładowe wywoziły codziennie jakieś towarzystwo, a przynajmniej jakąś rodzinę. Dr Judym rujnował się na bukiety pożegnalne, w których nad innym kwieciem przeważały niezapominajki. Stał już w głębi parku pierwszy chłód ranny, siał wieczorami na murawach zimną, białą rosę, a w szczyty drzew wplótł tu i ówdzie żółty liść, jakby pierwszy siwy włos w czuprynę dojrzałego mężczyzny.

Cichy smutek ogarnął rozbawione kółka. Teraz właśnie wydobywały się na jaw sympatie ukrywane starannie. Nad osobami, które wtedy dopiero miały sobie mnóstwo słów do powiedzenia, zawisł złośliwy dzień wyjazdu.

Serce Judyma zostało nie tknięte, a przemijające „wrażenia” były dlań czymś w rodzaju deszczu, który rozkwasza ziemię i czyni ją niby to do niczego niezdolną, a właściwie udziela jej wtedy władzy stwarzania.

Przelotne smutki szybko uschły, dusza Judyma stężała i pchnęła go do roboty zdwojonej.

W pierwszych dniach września, kiedy przyszły sloty, w czworakach folwarcznych zapadło mnóstwo dzieci na tak zwaną *frybrę*.

Czworaki owe mieściły się za dużym i wilgotnym parkiem, który jak płaszcz ogromny spływał po pochyłości wzgórza od szczytu dworskiego aż do rzeki płynącej w łąkach. Tam były owczarnie, obory i mieszkania służby folwarcznej. Plenipotent majątku, człowiek nadzwyczaj energiczny i świetny agronom, z rzeczulki bezpożytecznie płynącej skorzystał w ten sposób, że na skraju parku, w trzęsawisku podmytym przez tajemne źródła, wygrał kilka sadzawek idących jedna za drugą. Woda przez właściwie urządzone „mnichy” spadała z jednej do drugiej. Sadzawki te wykopane były w torfiastym gruncie. Ił, porzucony na brzegach i groblach, macerował się w słońcu i we właściwym czasie służył do użyźniania roli. Woda odpływająca stamtąd łączyła się podłużnym basenem ze stawami, które rozlewały się w parku zakładowym, co bardzo upiękrszyło wiecznie kwaśne pobrzeża. Miejsce i tak już mokre, przez wstrzymanie zbiorników martwej wody wyziewało ze siebie ciężki

opar, którego słońce strawić nie mogło. Tam to właśnie (w czworakach i we wsi leżącej na drugim brzegu łąki) grasowała *frybra*. Dzieci przyprowdzone stamtąd do Judyma były wyschnięte, zielone, z wargami tak sinymi, jakby je miały poczernione węglem, z oczyma, które nie patrzyły. Periodyczne ataki gorączki, ciągłe bóle głowy i owa jakby śmierć duszy w żywych jeszcze ciałach zmusiły Judyma po długim badaniu do smutnego rokowania, że ma przed sobą ofiary malarii. Wówczas wybrał się cichaczem na zwiedzanie miejscowości leżących w dole. Przekonał się, że wiele rodzin było dotkniętych tą klęską.

Mieszkańcy wioski, autochtonowie, znosili ją, widać, łatwiej, ale ludność folwarczna, wędrowna, przybywająca z innych okolic, padała ofiarą w bardzo wielkiej ilości. Judym brał do szpitala tylko dzieci bardzo chore, leczył je chininą i trzymał na słońcu w ogrodzie, zapędzając do różnych robót, a po trosze i do nauki. Ale nie mógł zabrać ani czwartej części. Ci zaś, co „na górze”, w cieple doświadczyli poprawy, musieli wracać do swych mieszkań nad wodą.

Mieszkania owe, dawno wzniesione, były stosunkowo bardzo porządne, murowane z cegły, tak samo jak owczarnie, stodoły, spichlerze itd. Nie mogło być mowy o umieszczeniu tych rodzin w innym miejscu, gdyż to pociągnęłoby szalone koszty. Tam koncentrowało się życie folwarku.

Kiedy pierwszy raz Judym zapytał mimochodem plenipotentą, czy nie dałoby się przenieść czworaków na miejsce bardziej suche, ten zaczął mu się przypatrywać z uwagą, a w taki sposób, jakby doktor ni z tego, ni z owego w towarzystwie osób starszych i godnych szacunku zatańczył kankana albo wywrócił koziołka. Judym nie stracił przytomności i nie spuścił oczu. Czekał jeszcze chwilę, czy mu wszechwładny agronom nie odpowie, a gdy się niczego nie doczekał, rzekł z całą delikatnością:

– Tam, w tych czworakach panuje malaria. Przyczyniają się do tego w znacznej mierze... przyczyniają się do tego... zaprowadzone sadzawki.

Plenipotentowi lica i oczy krwią zabiegły. Sadzawki były to jego ulubienice. Sam je wymyślił, zarybił i osiągnął z nich dla majątku znaczny dochód. Ryby w ciągu całego roku szły na sprzedaż i do kuchni zakładu leczniczego, czyniąc już dużą pozycję, a na przyszłość cała sprawa, prowadzona umiejętnie, miała stanąć jeszcze lepiej. Prócz tego łód, szlam itd.

Toteż wielkorządca i teraz nic nie rzekł, tylko błysnął oczami, a później przeszedł na inny temat w sposób zabójczo grzeczny.

Taki wstęp nie zwiastował zgody ani jakiegokolwiek kompromisu. Trzeba było wywierać nacisk. Do pani dziedziczki w kwestii tak czysto folwarcznej droga prowadziła jedynie *via*<sup>11</sup> plenipotent. Panny załamywały białe dłonie, ale nic poradzić nie mogły.

Jesień nadchodziła.

Po dżdżystych nocach stało nad łąkami i dolnym parkiem jakby błoto w przestworze. Gdy nim kto długo oddychał, uczuwał ból głowy i jakiś pulsujący szelest w żyłach. Wtedy również Judym zauważył, że i w zakładzie około stawów było powietrze jeżeli nie takie samo, to bardzo siostrzane. Liście zlatujące z olbrzymich grabów i wierzb sypały się w stojące baseny wody i tam w niej gniły. Na powierzchni stawów pieniała się masa wodorostów, które gdy było wyrwać i rzucić na brzegu, szerzyły woń cuchnącą. Kuracjusze przybywający do Cisów dla pozbycia się malarii nie tracili jej, a były nawet dwa wypadki febry zdobytej. Kiedy Judym zakomunikował te swoje obserwacje doktorowi Węglichowskiemu, ten zmierzył go takim samym wzrokiem jak plenipotent i żartobliwym, a jednak cierpką esencją zaprawionym tonem oświadczył, że to nie jest wcale ani febra, ani tym mniej – malaria.

– Główna rzecz – dodał – nie należy o tym wcale mówić...

Cmoknął go przy tym w czoło i uderzył bratnią, przyjacielską dłonią po ramieniu.

Judym zdziwił się, ale... nie mówił nikomu.

We wrześniu izby szpitalne pełne były dzieci większych i mniejszych. Ocieżałe, mrukowate, senne istoty siedziały i leżały, gdzie się dało. W izbach panował zaduch i jakaś nieopisana nuda.

<sup>11</sup> *via* (łac.) – droga; tu: przez. [przypis redakcyjny]

Zdawało się, że tu spędzono pijaną szkołę, która za nic na świecie nigdy się niczego nie wyuczy. Dzieci te wlepiły we wszystko ślepie bez żadnego wyrazu, bez chęci nawet do jadła. Jeżeli które z nich wypędzono za drzwi, লাżło bezmyślnie przed siebie, wtulając głowę w ramiona.

Gdy trafiło się wolne miejsce, wnet je ktoś zajmował i przymykał oczy nie po to, żeby spać, tylko żeby na świat nie patrzeć, żeby wciągnąć się w siebie jak ślimak w skorupę i doznać ciepłej ulgi. Zwiędłe kadłuby dziewczyn, na których twarzach malował się ból głowy, pozawijane w chustki i zapaski siedziały nieruchomo na ziemi, gotowe trwać całe doby w tej samej pozycji, byleby tylko nie łązić po błocie i deszczu. Kiedy doktor wchodził, wszystkie oczy patrzyły na niego jakoby ten dzień jesienny. Czasami gdzieś, w głębi przewinął się uśmiech...

Ta sentymentalna gościnność dla podrostków nie chorych obłożnie, sprzeciwiająca się tak jaskrawo tradycjom szpitala, zaczęła ludzi irytować. Plenipotent wprost mówił, że zanoszą się na demoralizację „w grubym stylu”, a nawet ze swej strony „za nic nie ręczył” i „umywał ręce”. W gruncie rzeczy Judym sam nie wiedział, co ma robić dalej. Chininę ekspensował jak mąkę, miał „rezultaty”, ale do czego to *summa summarum*<sup>12</sup> prowadzić miało – nie bardzo wiedział. Gdy chore dzieci przychodziły jak owce do owczarni, pozwalał im rozkładać się i siedzieć, a gdy je stamtąd „ojcowie”, nastłani przez ekonomów i karbowych, wyciągali do roboty waląc pięścią po karku, nie protestował, bo nie wiedział w imię czego.

Tak stały rzeczy, gdy pewnego dnia dr Judym otrzymał bilet od pani Niewadzkiej, w którym wyrażona była prośba, żeby się niezwłocznie pofatygował do pałacu. Skoro się tam udał, wprowadzono go do małej alkowy, gdzie stara dama zwykle przebywała. Były tam obydwie wnuczki i kilka osób z rodziny dalszej, które zazwyczaj bawiły w Cisach przez sezon. Judym był już w tym pokoju kilka razy, ale zgromadzenie tylu osób odebrało mu pewność siebie. Pani Niewadzka wyciągnęła doń rękę i kazała usiąść obok siebie.

– Prosiłam cię, panie doktorze, na naradę.

– Służę z gotowością.

– Co do tych bębnow<sup>13</sup> folwarcznych. Nie ma sposobu, prawda?

– Nie ma żadnego.

– Worszewicz ani słuchać podobno nie chce pańskich projektów przeniesienia Cisów na inne miejsce, na przykład w Góry Świętokrzyskie?

– Nie chce nawet paru czworaków posunąć wyżej na tutejszą, Cisowską górę, a cóż dopiero mówić o Górach Świętokrzyskich... – rzekł doktor w tym samym tonie.

– Hm... To źle! Bo tutaj Joasia proponowała inną kombinację.

– Panna Podborska?

– Tak, tak... Chciała oddać swój pokój w skrzydle na pomieszczenie malaryków, żeby od nich szpital uwolnić. Ona tam zresztą ma jakieś swoje mrzonki, na czym się nie znam. Ale że to jest przecie jasne jak płomyk i czułe jak powój, więc nie mogę temu nie ulegać. Samo chciało w pasażyku, uważasz, doktorze, obok stancyjki gospodyni... Otóż uradziłyśmy tu, żeby jej na urodziny, w listopadzie, zrobić siurpryz<sup>14</sup>. Jest w lewej oficynie od południa stara piekarnia, całkiem dziś pusta. Tam jest izba ogromna, sucha i widna. Prosiłam pana Worszewicza, żeby kazał stamtąd wynieść wszelkie rupiecie, obelić ściany, wyrestaurować piec, opatrzyć okna... Może byś zgodził się, panie doktorze, tam te dzieci przetranslokować! Niechże się to w zimie tam grzeje i ratuje... To dla niej, dla panny Podborskiej... na wiązanie...

– Czyżbym się zgodził!... Ależ...

– A, no to chwała Bogu.

---

<sup>12</sup> *summa summarum* (łac.) – wszystko razem, ostatecznie. [przypis redakcyjny]

<sup>13</sup> *bębny* – tu: dzieci. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> *siurpryz* (z fr. *surprise*) – niespodzianka. [przypis redakcyjny]

– Te dzieci kuracji nie potrzebują, tylko suchego mieszkania tu, na górze. Gdzież jest panna Joanna?

– Nie, nie, jej mówić nie trzeba! Dopiero w listopadzie otworzy się tę salę malaryjną i odda jej pontyfikalnie<sup>15</sup>. Uważasz? Ona tam będzie sobie z tymi brudasami radziła. To jej rzecz... Pod pańskim zresztą dozorem lekarskim...

– Ach, tak... – szepnął Judym.

Uczucie niesmaku, a nawet odrazy przewinęło się w mrokach jego duszy.

---

<sup>15</sup> *pontyfikalnie* – uroczyście. [przypis redakcyjny]

## Starcy

Domek zajmowany przez dyrektora Cisów dra Węglichowskiego mieścił się na wzgórzu, z którego obejmowało się wzrokiem cały park i jego okolice. Dworek ten należał do M. Lesa. Kiedy dr Węglichowski zdecydował się przyjąć obowiązki dyrektora, M. Les zaczął niezwłocznie pod dozorem uproszonej kompetentnej osoby stawiać w Cisach „budę” dla siebie, w której, jak pisał, pragnął żywota dokonać. Była to willa drewniana, z zewnątrz niepokazna i dość ciasna. Miała jednak rozmaite zalety wewnętrzne: były tam alkowy, piwniczki i spiżarki, skrytki, strychy itd. tak pobudowane, że czyniły z niej bezcenne gniazdo.

Kiedy dom był gotów, M. Les prosił Węglichowskiego listem gwałtownie różnojęzycznym o zamieszkanie w tej chałupie, a to w celu po prostu ustrzeżenia jej od złodzieja, ognia i wojny. Węglichowski odrzucił propozycję. Nie miał zamiaru korzystać z darowizny domu (gdyż taki był podstęp M. Lesa, zbyt prostacko sklejonny, żeby się ktokolwiek na nim nie poznał). Wtedy Leszczykowski napisał list jeszcze bardziej nieortograficzny, w którym wymyślał po turecku „starym futurum”<sup>16</sup>, którzy dach przyjaciela uważają za cudzy. „Nie ma już – pisał – dawnego koleżeństwa! Wszystkoście zamienili na pieniądze, a skoro tak, to płać, płać komorne, jak Żydowi albo Grekowi! Ponieważ jednak ja ani Żydem, ani Grekiem, ani żadnym hyclem być nie myślę na stare lata, więc żądam, żebyście ten czynsz dzierżawny obracali na kształcenie jakiego osła z Cisów czy spod Cisów w pożytecznym kunszcie, w jakim koszykarstwie, tkactwie, co by później w okolicy rozwinął – czy ja tam wiem zresztą, w czym i jak? Głupi jestem przecie w tych sprawach, jak zresztą we wszystkim, co się nie tyczy bezpośrednio targów z Azjatami...”

To dr Węglichowski przyjął z ochotą. Czynsz dzierżawny oznaczono kolegiально i wypłacono, według woli M. Lesa, naprzód ogrodniczce, który się uczył w Warszawie, a później innemu chłopcu.

Szczególnie zadowolona z mieszkania była żona dra „Węglicha”, pani Laura. Była to osoba nadzwyczaj interesująca. Miała już pięćdziesiątkę z dużą górą, ale trzymała się wybornie. Siwe pasma włosów wymykające się spod czarnego ubrania głowy podczerniała tak starannie i systematycznie, że przybrały kolor szczególny, kolor zmulonego siana, które wyschło wprawdzie na słońcu, ale nie może się pozbyć odcienia czarnej, głębokiej zieleni. Policzki jej były zawsze rumiane, oczy żywe, a ruchy prędkie i gwałtowne po dawnemu, jak u osiemnastoletniej dziewczyny. Pani Laura była to osoba małego wzrostu i szczupła. Od czasu zamieszkania w Cisach stopniowo zmieniała się na „gospodynię”, bardzo wiele czasu poświęcała „drelowaniu”, smażeniu, pieczeniu i gotowaniu. Nie można powiedzieć, żeby rondel świat jej zasłonił. Owszem, pani Laura lubiła patrzeć na życie szersze, i to okiem przenikliwym, co zresztą prowadziło nieraz do zbyt kategorycznego (między pieczeniem a deserem) rozstrzygnięcia zawyłych kwestii. Życie jej obfitowało w szczegóły, które mogłyby zapełnić romans, a właściwie opis podróży. Młodość, pierwsze jej lata poślubne upłynęły za światem, w wertepach, w pracy ordynarnej, w ciężkich i twardych cierpieniach. Ów sposób życia ujął wrodzony temperament pani Laury w mocne kluby i urobił go w szczególną całość. Doktorowa na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie babiny gadatliwej, chętnie decydującej i chłodnej. Nie cierpiała wszelkiej „egzaltacji”, mazgajstwa, uczuć i tkliwości. Palnęła nieraz takie zdanie, że się aż kwaśno robiło. W gruncie rzeczy jednak czuła żywiej niż całe otoczenie. Były materie, które ją elektryzowały w mgnieniu oka. Wtedy robiła wrażenie nasrożonej kocicy. Mówiła w takich momentach krótko, węzłowato, jak dowódca wydający rozkazy swemu oddziałowi piechoty. W tej piechocie stał, rozumie się, na pierwszym miejscu dr Węglichowski. Czy siedział pod pantoflem, to jest wieczna tajemnica... W kwestiach szerokich, ogólnych, zasadniczych sprawiał wrażenie

---

<sup>16</sup> *futur* – tu w znaczeniu: kolega, kompan. [przypis redakcyjny]

podkomendnego. Za to w interesach wszelkiego gatunku, wymagających przebiegłej kombinacji, był panem i rozkazodawcą.

U państwa Węglichowskich prawie co dzień gromadził się świątek Cisowski: Listwa, Chobrzański, plenipotent Worszewicz, ksiądz, Judym, kilka osób z kuracjuszków i kuracjuszek dłużej w zakładzie przesiadujących. Latem, a szczególnie pod jesień grywano w winta na małej werandzie domu, ocienionej dzikim winem. Kiedy Judym przybył do Cisów, zastał już między stałymi bywalcami tych posiedzeń wintowych nie tylko przyjaźń, ale jakieś zrośnięcie się myślami, wyobrażeniami, całą masą upodobań i antypatii.

Niektóre osoby lubiły się tam wzajem a bezinteresownie. Pani Węglichowska lubiła tak Listwę, a on ją. Młody proboszcz wiecznie pokpiwał sobie z tych „amorów” w sposób dystyngowany, a Krzywosąd w sposób rymarski. Pani Laura wyśmiewała się nieraz ze starego kasjerzyny, a lubiła go i brała w obronę zarówno od udręczeń żony, Dyzia, jak całego świata. Za tę opiekę Listwa odwzajemniał się formalnym uwielbieniem, admiracją stałą i wykluczającą krytykę. Krzywosąd wsunął się między Węglichowskich, przywarł do nich i, poznawszy wszystkie ich zalety, błędy, dziwactwa, czynił, co trzeba, żeby zostać panem placu. Udało mu się to w zupełności. Dr Węglichowski miał w nim istotną prawą rękę. Krzywosąd wykonywał wszystko po myśli dyrektora, przewidywał na cztery tygodnie jego życzenia, ale w zamian rozszerzał krok za krokiem terytorium swojej władzy.

Pomimo rozumu, siły woli i tęgości charakteru dr Węglichowski ulegał nieraz Krzywosądowi, ustępował mu, a nawet pokrywał jego czyny urokiem swego autorytetu. Ci dwaj ludzie dopełniali się i tworzyli jakąś całość władzy silnej i zgoła nierozzerwalnej. Plenipotent lubił towarzystwo tych osób i był lubiany. Dzień w dzień spierał się z Chobrzańskim, który go raził wszystkim, co robił i mówił, a mimo to przepadał za wszechstronnym administratorem. Całe to kółeczko stanowiło świat odrębny.

Byli to ludzie wypróbowanej, nieposzlakowanej uczciwości, ludzie, którzy w życiu swym straszną masę rzeczy widzieli, toteż uchodziło dla najbliższej okolicy za honor być na wincie u dyrektorostwa. Judym i proboszcz weszli do tego grona jak gdyby *ex officio*<sup>17</sup> z natury swego położenia towarzyskiego. Byli, rzecz prosta, dobrze przyjęci, ale nie mogli wejść w ścisłe pobratymstwo z tamtymi. Judym nigdy nie mógł osiągnąć tego, żeby znajdował posłuch, żeby mówił przekonywująco<sup>18</sup> dla kogokolwiek.

Słuchano go z uwagą, odpierano jego zdania albo się na nie godzono, ale on czuł dobrze, że jest to tylko rozmowa. Między nim i grupą był jakiś płot nie do przebycia. Uderzało go zawsze patrzenie tamtych osób na terażniejszość, a raczej modła traktowania, z której pomocą ujmowali każde zjawisko bieżące. Życie współczesne w Cisach stanowiło dla grupy dyrektorskiej jak gdyby tylko ramę wypadków ubiegłych. Wszystko, cokolwiek było i mogło być ważnego – leżało w przeszłości.

Ludzie, wypadki, kolizje, przejścia, radości i cierpienia z tych czasów dawnych miały jakąś moc aktualności, która przytłaczała rzeczy nowe. Wszystko, co współczesne – było dla nich prawie niedostrzegalne, jakieś błahe, bez wartości i wpływu, a najczęściej śmieszne. Tymczasem Judym żył taką pełnią sił, tak rzucał się na terażniejszą chwilę i porywał ją w swe ręce, że owe dawne rzeczy tylko go nudziły. Toteż w żaden sposób nie mógł znaleźć drogi do tych ludzi.

Czuł to na każdym kroku, że musi albo wziąć z ich rąk ster spraw Cisowskich, albo z nimi współdziałać w taki sposób, aby im się wydawało, że to oni robią. Już po upływie kilku miesięcy przekonał się, że tylko to drugie jest możliwe. Administrator i dyrektor byli tak silnie ze sobą złączeni i tak świadomie trzymali wszystko, że o pracowaniu pomimo nich mowy być nie mogło. Kiedy Krzywosąd po skończeniu sezonu sam, własnoręcznie reparował rury prowadzące ogrzaną wodę do wanien, a Judym zrobił mu uwagę, że tak być nie powinno, że naprawianie rur – to rzecz specjalisty, gdyż w przeciwnym razie w ciągu sezonu wynikną awantury w kształcie pęknięcia tych szlachetnych

---

<sup>17</sup> *ex officio* (łac.) – z urzędu. [przypis redakcyjny]

<sup>18</sup> *przekonywująco* – dziś popr.: przekonująco a. przekonywująco. [przypis edytorski]

naczyń, Krzywosąd odpowiedział mu kilkoma anegdotami i robił dalej swoje. Dyrektor, do którego zwrócił się młody asystent z tą samą radą, uśmiechnął się i odrzekł grzecznie, że to jest terytorium administratora, który w swoim poświęceniu dla Cisów idzie aż za daleko, który oto własnymi rękoma pracuje, żeby zaoszczędzić grosza, który, krótko mówiąc, jest fenomenem. Zacytował mu nadto ze sześć przykładów nieposzlakowanej uczciwości Krzywosąda. Gdy Judym zastrzegł się, że on o szlachetności nie tylko nie wątpi, ale nawet nie mówi, rury zaś... – dyrektor powtórzył myśl swoją i urwał na niej rozmowę.

Taki proces powtórzył się z dziesięć razy, i to w najrozmaitszych okolicznościach. Wszystkie one wykazywały, że nie można w żaden żywy sposób wpływać na bieg spraw cisowskich, jeśli się nie idzie ręką w rękę z administratorem. Wówczas młody lekarz umyślił współdziałać z Krzywosądem i tym sposobem go opanować. Zabrał się tedy w sezonie jesiennym, kiedy wszelkie rozrywki ustały, do prac przeróżnych. Układał w zastępstwie starca księgi kancelaryjne, które tamten mazał w sposób niemożliwy, wglądał jako ekspert w sprawy kuchni, ogrodu, folwarku, sadził drzewa, jeździł do miasta na sądy, budował, przerabiał, zajmował się wszelkiego rodzaju restauracjami mebli, spisywał kontrakty itd. Nie tylko Krzywosądowi, ale wszystkim podobała się ta gorliwość. Chętnie wyreżano się doktorem, który imał się każdej pracy. Były to dla niego środki, które uświęcał daleki cel: osuszenie Cisów, skasowanie sadzawek, stawów, basenów i cały na tym tle szereg chytrze przemysłanych reform. Od czasu do czasu nieznacznie, jak gdyby nigdy nic wysuwał łapę i badał sytuację, czy nie można by już ruszyć się w znanym kierunku... Ale za każdym razem musiał ją cofać i wracać do pospolitego wykonywania robót za Krzywosąda, za dyrektora...

Skoro tylko spostrzegano, że „młody” filozofuje, delikatnie usuwano go nawet od czynności, na które już zezwolono jak małemu, obiecującemu chłopczykowi, gdy był grzeczny. Judym nie zrażał się niczym. Robił ciągle z myślą, że nauczy się z czasem tych Cisów tak na pamięć, że je od a do z ogarnie pracą swoją i tym trybem posiedzie.

Z wolna, w głębi ducha pierwotna chęć do pracy zamieniała się na zgubną pasję. Cały zakład, park, okolica stawały się jego skrytą namiętnością, żyjącym, jak płód, wewnętrznym światem.

Jeżeli się zamyślił głęboko i chwycił na gorącym uczynku, o czym też myśli, to zawsze okazywało się, że coś knuje: nowe urządzenia, inne wanny, szpalery, ogrody dla dzieci, sale gimnastyczne, przytułki dla wyrobników zakładowych i inne, inne rzeczy – aż do białego słonia, aż do samego „muzeum Cisowskiego”. Nieraz w nocy, zbudziwszy się, łamał sobie głowę nad jakąś drobnostką, nad czymś, co nikogo nie interesowało, czekał niecierpliwie ranka i, wstawszy o świcie, coś sam robił, dźwigał, kopał, mierzył.

Pewne przedsięwzięcia niezbędne dlań w systemacie, w owym planie zmierzającym do higienizowania, wykonał sam całe, z prawdziwą furją. Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego raptem zajmował się rzeczą postronną, nie związaną z życiem rokrocznym, z formułą zakładową. Uśmiechano się wtedy pobłaźliwie, układano cichaczem anegdoty – nie żeby mu szkodzić albo go dotknąć, lecz idąc za natchnieniem przyrody uczciwych, spokojnych, osiadłych ludzi.

Już w zimie młody doktor stał się figurą tak niezbędną w Cisach, tak do nich pasującą, jak na przykład źródło albo łaźienki. Służba, robotnicy, chłopstwo okoliczne, interesanci, dwór, goście – słowem, wszyscy przywykli do tego, że jeżeli trzeba coś ciężkiego zrobić na pewno, coś z forsą „odwalić” – to do „młodego”. O każdej porze dnia, a nieraz w zimowe noce, w mrozy, zawieje, roztopy, na małych saneczkach albo piechotą, w grubych butach snuł się po drożynach między wsiami do chorych na ospę, na tyfus, szkarlatyny, dyfteryty...

Jak to zwykle bywa na świecie z ludźmi silnymi – nie ominął go ani jeden wyzysk. Brał jego pracę każdy, kto tylko mógł. Ale Judym drwił sobie z tego. Czuł się tak dobrze jak inny, gdy zbija majątek albo buduje sobie sławę. Im silniej pracował, tym więcej czuł w sobie mocy, jakiegoś rozmachu i owej pasji, która potężniała i wyrabiała się od trudu jak mięsień. W tym życiu całą piersią brakowało mu jednak towarzysza. Czasami popełniał błędy, leciał niepotrzebnie w jakimś kierunku

i u końca jego dostrzegał, że się ośmiesza w mniemaniu tych, co siedząc na uboczu przypatrują się tylko i wiedzą z góry o śmieszności tego, co on czyni.

Istniał jeden wspólnik, ale daleko. Był nim M. Les. Od samego przyjazdu Judym wszedł z nim w korespondencję, która z czasem zamieniła się na ciągłe obcowanie. Kochanek dla kochanki nie ekspensuje takich stosów papieru jak ci dwaj praktyczni marzyciele. Judym podawał swoje projekty i uzasadniał je, M. Les wskazywał drogi urzeczywistnienia. Z początku Leszczykowski usiłował przekonać w listach radę zarządzającą, żeby wprowadzała takie a takie ulepszenia w Cisach. Wszyscy, rozumie się, powstali na niego z wyrzutami, że bierze się do rozstrzygania spraw instytucji, której na oczy nie widział.

M. Les musiał położyć uszy po sobie i zamilkł skompromitowany. Zaczęto się domyślać, kto to inspiruje starego filantropa, i odgadnięto bez trudu. Zgadł to przed wszystkimi Krzywosąd i zabezpieczył się z tej strony. On sam począł pisywać sążniste listy do Leszczykowskiego i przedstawiać mu sprawy w innym oświetleniu. Na szczęście stary kupiec znał „zieloną małą” do gruntu i zbyt kochał rzecz samą, żeby mu można zwichrzyć o niej pojęcie. W listach Judyma widział ciała swych planów urodzonych w tęsknocie, jakby dalsze wywody swych myśli. Toteż nie ustawał. Gdy nie pomagały przerozmaite chytre oddziaływania na dyrektora i Krzywosąda, M. Les polecał Judymowi uciekać się do „cichej kasy”. Tak było ze szpitalem i mnóstwem innych rzeczy. Jeżeli nie chciano zgodzić się na jakąś innowację, to ją wprost M. Les za pośrednictwem Judyma fundował dla Cisów. Rada zarządzająca krzywiła się, uśmiechała ironicznie, szeptała dowcipne słowa, ale koniec końców czuła się zmuszona do podziękowań.

W ciągu całej jesieni Judym obserwował, badał i mierzył stawy zajmujące środek parku, a głównie basen wprowadzający wodę do pierwszego z nich. Basen urządzony był w ten sposób, że u samego wejścia rzeczki do stawu zbudowano groblę, która podnosiła poziom szyi rzecznej o jaki łokieć z górą. Nadmiar wody spadał z szumem do stawu. Ten zbiornik wody skonstruował Krzywosąd, a żeby ozdobić park w takim rodzaju, jak to widział w przeróżnych rezydencjach pańskich. Judym przyszedł do wniosku, że dla osuszenia Cisów trzeba przede wszystkim skasować ten wynalazek, później pierwszy staw, a dopiero drugi uczynić zbiornikiem poruszającym maszyny zakładowe. Należało tedy dźwignąć dno rzeczki do wysokości poziomu w niej wody i puścić strumyk po tym dnie twardo ubitym kamieniami. W tym celu trzeba było zbudować rodzaj tamy przed parkiem i podnieść wysokość wody w rzeczce płynącej wśród otwartej doliny, na dużej przestrzeni. Prąd podniesionej wody zlatywałby na twarde dno w parku, sączył się po nim bystro i spływał do pierwszego stawu. Tym sposobem liście z drzew nie gnęłyby w wodzie basenu, roztopy wiosenne nie znosiłyby ich wraz z mułem do stawu, wskutek czego te zbiorniki wody nie byłyby tak szkodliwe.

Judym czuł przestrach na samą myśl wypowiedzenia tego projektu osobom zarządzającym sprawami Cisów, to jest dyrektorowi i „małpie”, a wykonać całej roboty na koszt M. Lesa również nie było możliwości. W tym czasie, to jest w lutym, przypadał właśnie termin wizyty w Cisach komisji rewizyjnej. Komisja, składająca się z trzech osób wybranych z grona wspólników, rzeczywiście zjeżdżała rokrocznie do zakładu, zwiedzała go, przerzucała księgi, jadła obiad i odjeżdżała do swych zatrudnień, gdyż wiadomą było rzeczą, że instytucja pod ręką Krzywosąda i Węglichowskiego idzie świetnie. Pewnego dnia, wchodząc do sali jadalnej, Judym spostrzegł trzech nie znanych sobie panów, którzy zżywieniem rozmawiali o Cisach w sposób zdradzający ludzi świadomych rzeczy.

„Komisja...” – pomyślał Judym.

Dreszcz przebiegł wzdłuż jego nerwów i jakby na końcu swej drogi tajemniczej spotkał silną decyzję.

„Teraz im wszystko wyłożę!”

Przy obiedzie zawiązała się żywa rozmówka, w której Judym brał udział, ale więcej w celu zbadania przybyłych, wysondowania, co to za jedni. Niewiele mógł dociec. Raz mówili doskonale, bezwiednie popierając plany reform, a kiedy indziej zdradzali się z tak ordynarnym brakiem wiadomości, że ręce opadały. Dr Węglichowski zaprosił kontrolerów na radę do kancelarii, gdzie

po drzemce mieli się zejść, przejrzeć księgi, rachunki, a między innymi nowe plany kwitariuszów zaproponowanych przez Judyma. Korzystając z grzeczności, których mu wobec rewizorów nie szczędził ani dyrektor, ani Krzywosąd, asystent wyraził Węglichowskiemu na uboczu prośbę, ażeby mu pozwolono być obecnym na tej radzie. Dr Węglichowski, skręcając według zwyczaju papierosa, wlepił w niego swe przenikające oczy i spytał otwarcie:

– Dlaczego kolega chcesz być na tym posiedzeniu?

– Chcę panom przedstawić mój projekt podniesienia zdrowotności w Cisach.

– Podniesienia zdrowotności w Cisach... Pięknie. Ale przecie my tu wszyscy myślimy, jak możemy, o tej samej sprawie. Twoje uwagi są cenne, ani wątpię, ale czyżbyś kolega miał powiedzieć jeszcze coś nadto więcej, niż wiemy wszyscy, na przykład taki Chobrzański, ci panowie z komisji, których słyszałeś mówiących ze znanstwem, no, wreszcie ja?

– Chciałem istotnie powiedzieć coś odmiennego. Może to jest niewłaściwa myśl... Panowie osądzą. Chciałbym jasno to wyłożyć i poddać do rozważenia.

– Czy znajdujesz kolega – mówił Węglichowski powolnie i uśmiechając się leciuchno – że my źle coś w kierunku przeciwdzrowotnym broimy?

– Bynajmniej... To jest, ja się tak zapatruję, że wilgotność jest zbyt wielka w Cisach.

– Czy aby w niej znowu nie znajdziesz twojej sławnej malarii? Tej, co to w lecie?

Mówił to ze śmiechem niby dobrotliwym, toteż Judym nie mógł wytrzymać i powiedział:

– Zdaje się, niestety, że ominąć jej nikt nie potrafi.

Dr Węglichowski cmoknął ustami, później zaciągnął się mocno i patrząc zza dymu na swego asystenta rzekł:

– Widzisz, kochany panie Tomaszu, musimy postępować w myśl ustawy, która nie daje ci prawa uczestniczenia w naradach. Nie jesteś członkiem. Musimy się trzymać ustawy. Ten nasz brak poszanowania ustaw – to jest wada narodowa. Owo: co tam! prawo prawem, a przyjaźń przyjaźnią. Naszym hasłem...

– Panie dyrektorze...

– Przepraszam, że ci przerwę; naszym hasłem powinno być co innego... *Dura lex, sed lex*<sup>19</sup>...

– A... jeśli ustawa zabrania... – szepnął Judym – w takim razie...

Ta odmowa nie tyle zmartwiła go, ile jakoś zdegradowała. Judym w ogóle łatwo ulegał złudzeniu, że w samej rzeczy nie ma prawa do mnóstwa przywilejów, które są udziałem innych ludzi. Obecną w nim była pamięć na rzeczy dawne, na pochodzenie i owo jak gdyby bezprawne wejście do życia stanów wyższych.

Toteż po rozmowie z doktorem Węglichowskim doznał w głębi serca tego spodlenia dumy, tchórzostwa rozumnej woli. Odszedł do siebie, rzucił się na sofę i chciał zdławić uczucie nędznej pokory. W chwili gdy biedził się z tym bezowocnym usiłowaniem, zastukał we drzwi jego numeru stary kąpielowy, pełniący zimą w domu dyrektora obowiązki lokaja, i wyraził przysłane „na gębę” zaproszenie pani dyrektorowej. Judym wiedział, że będą tam kontrolerowie<sup>20</sup>, toteż z umysłu<sup>21</sup> wybadał starego Hipolita, kto właściwie to zaproszenie przysyła.

– Pana dyrektora nie było od rana na górze – rzekł stary.

– No, a kogóż tam dzisiaj będziecie podejmowali?

– Tych ta panów z Warszawy, trzech, pana administratora i pana rządcę ze dwora.

– Dobrze, przyjdę – rzekł Judym.

Wiedział teraz, że zaproszenie wydane zostało rano, a teraz pani Laura wprowadzała je w życie, nic nie wiedząc o utarczce poobiedniej.

---

<sup>19</sup> *dura lex, sed lex* (łac.) – twarde prawo, lecz prawo. [przypis redakcyjny]

<sup>20</sup> *kontrolerowie* – dziś końcówka -owie w M Im przysługuje nazwom osób szacownych (profesorowie, senatorowie), w pozostałych zaś wypadkach stosuje się końcówkę -rzy (dyrektorzy, kontrolerzy). [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *z umysłu* – umyślnie, z rozmysłem. [przypis edytorski]

Wieczorem, znalazłszy się w saloniku, przywitany został przez dyrektora w sposób jak tylko być może najuprzejmiejszy, otoczony grzeczną, miłą i jakby tkliwą atmosferą opieki.

Czuł, jak mu trudno będzie przełamać tę sieć pajęczą, a jednak wiedział, że ją zerwać musi, musi... Wspomnienie odczytu warszawskiego było tak dławiące, że chwilami nie zdawał sobie sprawy, o czym to ma mówić...

Jeszcze przed kolacją, kiedy zwyczajne kółko gości dopełniło trójcę przyjezdnych, Judym wmieszał się do rozmowy i zaczął w sposób kategoryczny wyklądać teorię swego kanału. Dr Węglichowski cierpliwie słuchał przez czas pewien, a naraz, we właściwej chwili odtrącił tę kwestię zręcznym aforyzmem. Wprowadził na stół inną kwestię, mianowicie kosztorys nowej willi dochodowej dla chorych niezamożnych.

Dyskusja zesłała na inne tory...

Judym wiedział, że wystawi się niemal na śmieszność, jeżeli znowu zanuci jak maniak swoją piosenkę o dźwiganiu dna rzeki, a jednak zaczął:

– Panowie pozwolą, że ja raz jeszcze wrócę do sprawy z rzeką.

– Ależ prosimy, prosimy... – rzekł dr Węglichowski.

Judym spojrział na niego i zobaczył w tym wzroku błysk, który mógłby otruć człowieka.

Zaczął się wykład *ab ovo*<sup>22</sup>, dowodzenia szczegółowe o ruchu kropli wodnej i sile jej spadku z rzeki do stawu, o rodzaju mgły zalegającej łąkę w sąsiedztwie wód...

– Basenu niszczyć nie możemy – rzekł raptem Krzywosąd – gdyż na wiosnę w nim się utrzymuje nadmiar wody. Gdy przyjdą roztopy, wtedy pan doktor zobaczy, co to jest. Jeśli podnieść dno rzeki, to woda z brzegów wystąpi i zaleje park...

– Łąkę, nie park – rzekł Judym.

– Tak, łąkę, a na niej myśmy posadzili najpiękniejsze krzewy.

– To i cóż z tego? Cóż kogo mogą obchodzić pańskie krzewy?

– Jak to? – rzekł dr Węglichowski. – Ja koledze pokażę, ile te krzewy kosztowały! Posadziliśmy tam tuje, jesiony, najpiękniejsze sosny Weimutha, nawet platany, nic już nie mówiąc o tych ślicznych zagajnikach grabowych...

– Panie dyrektorze, co obchodzi chorego, który tu przyjeżdża po zdrowie, zagajnik, a nawet tuja? Tam jest błoto! Łąka nasiąknięta jest zgniłą wodą, która stoi w nieruchomym kanale. Ten kanał trzeba zaraz zniszczyć, a łąkę przerznąć kilkoma rowami. Osuszać, osuszać...

– Osuszać... – śmiał się Krzywosąd.

– Mnie się wydaje, że może pan doktor Judym ma rację – rzekł jeden z członków komisji. – Ktoś w rzeczy samej skarżył się przede mną na wilgoć w Cisach, na dziwne zimno, jakie tu panuje po zachodzie słońca. Na polach okolicznych, mówiła ta osoba, jeszcze ciepło, jeszcze żar idzie z ziemi, a nad stawami już tak chłodno, że kaszel drapie w gardle. Ja nie znam się na tym, ale skoro doktor Judym potwierdza... Nawet moja żona...

– Ach, z tymi młodymi lekarzami! – zawołał na pół żartobliwie doktor Węglichowski. – Zdaje im się, że gdzie oni postawią nogę, tam z pewnością leży Ameryka, którą, rozumie się, należy co tchu odkryć. Przecie ja tu, moi panowie, siedzę zimą i latem, znam ten zakład i życzę mu dobrze... Jak sądzicie, czy mu życzę dobrze? Otóż tedy – cóż mi zależy na tym, żeby istniał jakiś kanał, który wilgoć wytwarza... gdyby ją wytwarzał. Ale ja ręczę, że to są fikcje, szukanie w całym dziury. Kanał jest potrzebny tak samo jak most, jak staw, jak droga, więc go trzymamy. Okaże się, że jest szkodliwy – to go zniesiemy, ale dla fantazji rozpocząć jakieś prace i rzucać w to kilkaset rubli, pieniędzy nie naszych przecie, pieniędzy, które żadnego dochodu nie dadzą, które będą zmarnowane...

– Należy w takim razie zrobić tylko małą poprawkę w ogłoszeniach, w opisach Cisów. Nie należy twierdzić, że tu leczą, przypuścmy, febry uparte, choroby dróg oddechowych, bo tego tutaj spodziewać się nikt nie może.

---

<sup>22</sup> *ab ovo* (łac.) – od początku, dosł.: od jajka; jajko stanowiło pierwszą potrawę na ucztach staroż. Rzymian. [przypis redakcyjny]

Dr Węglichowski chciał coś powiedzieć na to, ale się wstrzymał. Tylko szczęki jego kilka razy drgnęły. Po chwili dopiero rzekł lodowatym głosem:

– Ja także jestem lekarz... i mniej więcej wiem, co tu można leczyć, a czego nie. Zapewne... nie wiem tego tak dokładnie jak szanowny kolega doktor Judym, ale o tyle, o ile... Miałem tu wypadki malarii znakomicie wyleczonej, wypadki bardzo częste, więc nie widzę potrzeby nic wykreślać z opisów...

– Mnie się zdaje – zwrócił się do Judyma któryś z kontrolerów – że może pan cokolwiek za krańcowo bierze tę sprawę. Przecież frekwencja gości stale się zwiększa.

– Frekwencja gości, proszę pana, niczego nie dowodzi. Jeden artykuł uczonego lekarza, udowadniający, że Cisy nie są zdrowe dla tych, od kogo się przecie bierze pieniądze za powietrze mające ich jakoby uleczyć, może całą sprawę obalić. Zakład może upaść w ciągu jednego roku. Ja także źle nie życzę temu kochanemu miejscu i dlatego to mówię.

– „Jeden artykuł uczonego lekarza...” uważasz? – mruknął z cicha dr Węglichowski do Krzywosąda, zwijając grubego papierosa.

– O cóż zresztą chodzi, o kosztą?

– A tak, my wiemy! – zaśmiał się Krzywosąd. – Pan doktor znajdziesz sumę potrzebną na pokrycie wydatków... w kieszeni tego zacnego Lesa. Ale czy to jest sprawa jak należy? Stary da, rozumie się, ale on nawet nie wie, na co daje...

– I czy to dobrze, czy to dobrze namawiać tego samotnego człowieka do wydatków tak wielkich? – mówiła pani Laura. – On jest wprawdzie zamożny, ale nie milioner, nawet nie krociowy pan. Co zarobi, to rozda. Jeszcze tak być może, że na stare lata nie będzie miał gdzie głowy położyć.

– Tak, panie doktorze – mówił ów kontroler trzymający stronę Judyma – Leszczykowski za wiele na te rzeczy wydaje. My wprost na to zezwolić nie możemy. Rozumiem jakiś drobiazg, ale takie sprawy fundamentalne, to nie uchodzi.

Judym zawstydział się. Przyszła mu do głowy myśl, że w tej chwili Krzywosąd podejrzewa go o intencję skorzystania z sum, które by M. Les przysłał na podniesienie dna rzeki... Myśl ta była tak niespodziewana i tak ogromna, że przydusiła wszystkie inne.

Judym zamilkł i siadł na uboczu.

Tak obalił się projekt do prawa o przekształcenie zbiorników wody w parku Cisowskim. Po wyjeździe komisji wszystko szło dawnym trybem i na pozór w stosunkach nic się nie zmieniło. Dyrektor był dla Judyma uprzejmy, Krzywosąd przesadzał się w grzecznościach. W głębi kryła się zimna nienawiść.

Judym upokorzony widział swój projekt w świetle jeszcze lepszym. Odrzucenie go wydało mu się i ruiną zdrowia kuracjuszków, i postępkiem przeciwspołecznym. Mała w istocie swjej kwestia wyrosła w jego myślach do niebywałych rozmiarów i zakrywała inne sprawy, stokroć większej doniosłości. Tak gzems dachu chlewika stojący na prost okna, z którego patrzymy, zakrywa rozległy łańcuch gór dalekich.

Antagoniści: dyrektor, Krzywosąd, Listwa, plenipotent, spierali się właściwie nie o podnoszenie dna rzeki. Każdy z nich załatwiał w tej sprawie jakiś rachunek z Judymem. Dyrektor obliczał się z nim za szpital, Krzywosąd za swe upokorzenia, Listwa za mącenie ciszy, która była jego rozkoszą życiową, plenipotent za projekty przeniesienia czworaków.

Przede wszystkim jednak wszystkich czterech złościła jego młodość. Gdyby o tym, co projektował Judym, którykolwiek z nich mruknął przy kartach, zyskałby, nie licząc krótkich wyprysków starczego uporu, zgodę, rozumie się, z tym zastrzeżeniem, aby ten, kto ma piękne myśli, dokonał pracy. Skoro jednak wystąpił z tą samą kwestią człowiek młody, starcy czuli się tak dotknięci w swej ambicji, jakby ich sponiewierał. Toteż zamknęli się i postanowili bez umowy wzajemnej nie dać przewodzić takiemu „smykowi”. Osobliwie mocno uwziął się dyrektor.

Prócz młodości drażnił go w Judymie ten sam zawód lekarski. Nie zdając sobie z tego sprawy, stary medyk nie uznawał Judyma za równego sobie lekarza i kiedy ten przemawiał albo uśmiechał się

w imię „medycyny”, dyrektor siłą woli trzymał za zębami krótkie obelżywe nazwisko. Cóż mówić, gdy młody wydarł się spod wpływu i samopas działał.

Nie ma takiego środka, który by w imaginacji dra Węglichowskiego nie przesunął się i nie mamił go nadzieją rychłej i absolutnej satysfakcji. Żaden jednak nie okazywał się dosyć i chwalebnie skutecznym. Usunąć entuzjastę dla jakiegoś powodu, który ustami plotki można by rozdać do miary występku. Tuż jednak nasuwała się refleksja, że wówczas trzeba by samemu prowadzić szpital, i to w taki sposób, jak to czynił tamten. W przeciwnym razie sława Judyma wzrosłaby u tłumu do wysokości niebywałej i wprost szkodliwej... Zmusić go szykanami, szeregiem drobnych ukłuc, upokorzeń, drażnień, ośmieszeń do ucieczki dobrowolnej... Ale czy wówczas ten szewski synek nie zemści się w swój sposób „naukowy”, czy nie przyczepi Cisom w jakimś piśmidle takiej łąty, że jej później sam diabeł nie odpruje? Dr Węglichowski przeklinał dzień, w którym zwrócił się do Judyma z propozycją objęcia posady. W pasji targał sieć, którą się dobrowolnie oplatał. W tej sieci bowiem były pewne oka szczególne. Doktor Węglichowski szedł w życiu dotychczasowym drogą prostą, zawsze, jak to lubił mówić o sobie, „rznął prawdę, a o resztę nie pytał”. Nigdy nie trudnił się matactwem, podstępem, nie walczył z żadną istotą ludzką ukrytym dla jej oka puginałem. Ludzie znali go wszędzie jako człowieka „zacności”. Sam nawykł nie tylko do tego przydomka, ale i do tego rysu swego charakteru, jak się przywyka do swego futra albo laski – aż oto, po raz pierwszy w życiu, dla walki z tym „młodym” macał w ciemności i szukał w sobie czegoś nieznanego, jakiejś innej broni. Judym czuł to wewnętrznie i dlatego chciał ich wszystkich zwalczyć tym goręcej, że bez reform zdrowotnych, które zaczynały się od wzniesienia dna rzeki, jak sztuka czytania od abecadła, nie warto było w Cisach pracować. Toteż w zupełnej ciszy i wśród grzecznych ukłonów, wspólnego picia herbaty wraz z czytaniem gazet kipiała walka ukryta.

W pierwszych dniach marca po tęgich mrozach, trzymających świat w ciągu całego prawie lutego w żelaznych pazurach, nastąpiła odwilż.

Śniegi raptownie spłynęły i ziemia do gruntu odmarzła. Rzeka w parku wezbrała, zniosła sztuczną tamę nad pierwszym stawem i wystąpiła z jego brzegów. Judym stał nad tą zamuloną wodą, gdy waliła się głębokim nurtem, i patrzył na potwierdzenie swych wywodów.

Było ciepło, jasno, po wiosennemu. Zadumany, nie dostrzegł, kiedy zbliżyli się do niego Krzywosąd i dyrektor.

– A co? – rzekł administrator – co by teraz było, panie doktorze, gdyby tu nie było kanału. Którędy szłaby ta wszystka woda?

– Raczej zapytaj pan, gdzie się podziewają fury zgniłych liści z kanału. Idą w tej chwili do stawu, żeby wydzielać ze siebie „powietrze”, za które pan każesz płacić ludziom z daleka przyjeżdżającym.

– Znacie tę bajeczkę – więc posłuchajcie...<sup>23</sup> – śmiał się dyrektor klepiąc Judyma po ramieniu.

– Piorunujemy w gazetach na publiczność owczym pędem dążącą za granicę, do tak zwanych *badów*<sup>24</sup>. Jakiż to *bad* zniósłby podobne rzeczy?

– Kochany panie...

– Nie, nie, ja się nie zapominam! Ani trochę! Ja mówię o samej rzeczy, kiedy panowie tego chcecie. Wpuśćmy tu Niemca, i patrzmy, co by on zrobił. Co wprawdzie urządzi: wspaniały salon do tańca czy szlamowanie stawu?

– No, chodźmy, Krzywosąd, chodźmy... – rzekł dyrektor – mamy jeszcze niejedno na głowie...

<sup>23</sup> *Znacie tę bajeczkę – więc posłuchajcie...* – aluzja do „powiedzzonka” z komedii Aleksandra Fredry *Pan Jowialski*. [przypis redakcyjny]

<sup>24</sup> *bad* (z niem.: *Bad*) – miejscowość kąpielowa, uzdrowisko. [przypis redakcyjny]

## „Ta łza, co z oczu twoich spływa...”<sup>25</sup>

Kilkaset rubli złożone przez doktora Tomasza umożliwiły jego bratu wyjazd za granicę. Parę dni Wiktor spędził w domu wśród płaczu i perswazji rodzinnych. Kiedy wszakże nadeszła chwila odpowiednia, ruszył w świat.

Był to wczesny ranek w lutym. Jednokonna dorożka z woźnicą znużonym i zagrzebanym w kożuch wlokła się ulicami. W cieniu nastawionej budy siedział Wiktor z żoną. W nogach mieściły się dzieci, którym ta ostentacyjna jazda sprawiała niewymowną uciechę. Chudy, zbiedzony koń-wyrobnik ślizgał się na obmarzłych kamieniach, utykał, gdy zerwane nogi trafiały w jamy zadęte przez zasy śniegowe i włókł przekleństwo swego żywota, budę na kołach, ulicą Żelazną w kierunku wolskich rogatek. Z przecznic, od Wisły, dał wicher i z furią miotał się na wszystko. Bił w nozdrza i w pyski, rozwarł przez wędzidła, strudzone konie pociągowe, które z całej siły, wszystkimi mięśniami wlokły po barbarzyńskim bruku wielkie fury frachtowe. Ciął w oczy biednych ludzi, od świtu dnia pędzących dokądś po kawałek nędznego chleba. Szarpał na wszystkie strony małą, zabłąkaną psinę, która przytulała się do zimnych schodów. Usiłował wyrwać haki i zatrzasnąć drzwi prowadzące do sklepów. Zdawało się, że w pewnych sekundach doznaje szalonej wściekłości na widok szyldów, że ciska się, chwyta zębami ogromne litery, targa je we wszystkie strony, jakby zamierzał strząsnąć z nich na ziemię głupie napisy. Skoro w swej drodze dalekiej spotykał wysokie kamienice, wdierał się na ich dachy i stamtąd wydymał zasy śniegu w brudne ulice. Cieniutkie włókienka przecinały widownię jakoby żywe, ruchome sieci pajęczne. Lotne płatki snuły się tak szybko i tak ciągle w jednym kierunku, że zostawiały w oczach wrażenie długich nici. Zdawało się, że początki ich snują się, niby z kądzieli, z zasy pod rudym parkanem, w oczach rosnącej, a przeciwnie końce zwijają na druty telefonowe<sup>26</sup>, krążą mechanicznie dokoła słupów z poprzecznymi ramionami i lecą w maszynowym pędzie dokądś nad rynny.

W sieci tej uwikłany miota się na rogu uliczny posłaniec. Skacze i tupie, uderza nogą o nogę, rozciera sobie ręce i biega na małym dystansie tam i z powrotem, tam i z powrotem. Gdy zwrócił się twarzą ku północnej stronie, wicher czyhający za węglem rzuca się nań jak tygrys, wszczepia w niego pazury i oddech włacza do gardła. Wówczas ten mały, zgarbiony człeczyzna odwraca się i drepce w miejscu, a wicher bije go w plecy i pcha przed sobą, podwiewając szarą sukmanę. Są chwile, kiedy posłaniec przyczaja się przed wichrem, wtula się w zagłębienie muru i stoi tam bez ruchu, jakby bez życia...

Tam dalej idzie szerokimi krokami ogromny Żyd-furman z biczykiem w rękę. Głowę ma obwiązaną jakimś dużym, czerwonym gałganem, na sobie ze trzy oponcze, nogi w buciorach z wołjoku. Twarz jego, zarośnięta, krwawa, schłostana przez wiatry, góruje wśród tłumu, przekrwione oczy patrzą jak wicher spod brwi zsuniętych. Ten człowiek z pola, człowiek należący do drogi jak słup wiorstowy albo bariera mostu, przygotowany do obcowania z burzą, ze śniegiem i mrozem, zaciekawia do żywego Karolę i Franka. Zapominają o świecie i, gdy dorożka daleko już odlaża, widzą go jeszcze i pokazują sobie nawzajem palcami. Na Srebrnej i Towarowej, gdzie wskutek ścisunku fur dorożka idzie wolno, noga za nogą, i huśta się w wybojach jak łódka, dzieciom aż oczy wyłażą z ciekawości. Oto wozy frachtowe trzeszczące pod ciężarem pak z towarem, czarne fury naładowane węglem, inne lodem, cegłą, drzewem. Obok nich idą woźnice zadęci śniegiem, z osędziałymi brodami na czerwonych twarzach, i wrzeszcząc poganiają zwierzęta. Spomiędzy brudnych kamienic wyrywają się tu i ówdzie dzikie kształty murów fabrycznych, nawet wśród takiej zamieci nie tracące swej barwy

<sup>25</sup> *Ta łza, co z oczu twoich spływa...* – początkowe słowa wiersza Adama Asnyka. Sens ukrytej w tytule aluzji wyjaśniają dalsze słowa pierwszej zwrotki, która brzmi: „Ta łza, co z oczu twoich spływa, / Jak ogień pali moją duszę; / I wciąż mnie dręczy myśl straszliwa, / Że cię w nieszczęściu rzucić muszę...” [przypis redakcyjny]

<sup>26</sup> *telefonowe* – dziś popr.: telefoniczne. [przypis edytorski]

czarnej, jakby wieczną śnieżną okrytej. Dachy o formie spiczastych schodów, zza których szła się ciemne, stalowe szyby, nie po to wprawione, żeby przez nie na świat boży oczy ludzkie patrzyły... Wśród duszących murów uderzają te szyby blaskiem nie swoim, obcym ich naturze, niby oczy kota pod światło widziane. Gdzie indziej wyrwa się w niebo wielki komin z cegły albo czernieje żelazny, przymocowany drutami, i rzuca olbrzymie kłęby burego dymu na mury sąsiednich domów i w okna ich mieszkań. Konwulsyjne ruchy budy spychały jadącym na brwi kapelusze i zasłaniały oczy. Wiktor siedział bez ruchu. Spod obwisłej linii ronda patrzył na przesuwany obraz. Kiedy niekiedy z oczu jego wytaczała się łza i przez nikogo nie dostrzeżona biegła po wynędzniałej twarzy.

Gdy minęli rogiatkę, wrzawa ustała. Otoczyły ich parkany, pustki, sady, rozległe dziedzińce zawalone węglem, wapnem, deskami. Gdzieniedzie nawijał się przed oczy samotny, chudy dom, jakby wydmuchnięty z czerwonego piasku. Drzwi jego piętra wychodziły w szczerze pole, a nie znajdując przed sobą balkonu, dokąd miały prowadzić, tylko dwie rude szyny sterczące w murze, zdawały się żywić zamiar wyrwania się z zawias i rzucenia w przepaść. Wkrótce i te ostatnie siedziby znikły i za jakimś parkanem odchyliło się pole, dziedzina wichru. Daleko zostało miasto rysujące się nikłymi liniami jak symbol czegoś niejasny, a pełen bólesci i takiego żalu, takiego żalu...

Do budy wdzierał się teraz tęgi, zimny wichur.

W drzewach przydrożnych huczał złowrogo, czasem między orczykami, jakby u tylnych kopyt szkapy, gwizdał przeraźliwie.

Cała rodzina przytuliła się do siebie. Judymowa niby to instynktownie pod wpływem zimna cisnęła kolanami nogi męża. On siedział sztywny, ręce wsunął w rękawy i patrzył przed siebie. Myślamy był już daleko, w podróży. Badał swoją nieznaną, przyszłą drogę za pomocą błędnych przeczuć. Skądś, z dalekich, Bóg wie kiedy odebranych wrażeń, z napomknięć słyszanych wytwarzał sobie dziwne narzędzie poznania niewiadomej doli. Wzrok jego błądził po śniegach przydrożnych, tak dziwnych jak wypadki, jak myśli, jak wszystko. Oto kształty zasp dziewiczych, bez żadnej formy, niezgodne z niczym, przeładowane jakimiś szczególnymi efektami, jakby ornamentem w rodzaju barokowym. To jakby liście powykręcane, krzywe, pełne zgięć do wnętrza, niby to przypominające naturę, ale od form jej prawdziwych dalekie; liście nie istniejące, liście wielkie a niepełne; to znowu jakby strzały tytaniczne, którymi można by przebić kościół świętokrzyski<sup>27</sup>.

Tu ciągnęły się jakieś chwilowe wzgórza, co zalecały się oku łagodnym kształtem swoim, gdzie indziej ohydne jamy, przypominające najgorszą a niewiadomą i ciemną boleść życia, a przypominające tak żywo, niby krzyk przeraźliwy...

Świat z prawej i lewej strony zasłonięty był burą czarniawą<sup>28</sup>, z której łona wichur wydymał i niósł nad ziemią śniegi lotne.

Około południa dorożka przybyła wreszcie na miejsce i zatrzymała się przed samotnym budynkiem w szczerzej pustce, którą łączył ze światem plant kolejowy. Na dole był sklepik z jaskrawym szyldem. W głębi mieścił się lokal rodziny żydowskiej, której liczni przedstawiciele ukazali się we drzwiach, gdy dorożka obok nich stanęła. Dzieci, skostniałe prawie od zimna, wytrzeszczonymi oczyma przypatrywały się tej „kamienicy”, zbudowanej z belek na pół zmurszałych, zapewne po spadłej z etatu karczmi lub stodole, a umalowanej na kolor cielisty z czerwonymi ornamentami około drzwi i okien. Wiktor wysiadł i poprosił jedną z osób przypatrujących się, czy nie można by dla rozgrzewki dostać kieliszka monopolu. Zaraz wyniesiono przed dom butelkę i cała rodzina wychyliła po kieliszku. Dryndziarz zmuszony był przełknąć dwa, gdyż po pierwszym całkiem nie mógł dojść istotnego smaku.

---

<sup>27</sup> kościół świętokrzyski – kościół Świętego Krzyża w Warszawie przy ul. Krakowskie Przedmieście, należący do największych kościołów w stolicy. [przypis redakcyjny]

<sup>28</sup> czarniawa – tu: chmura burzowa. [przypis redakcyjny]

We mgłę widać było jakieś szare zarysy. Żydkiwie objaśnili, że to właśnie jest dworzec kolejowy. Pociąg idący w stronę Sosnowca<sup>29</sup> miał ukazać się za jakie trzy kwadransy. Judym musiał się spieszyć. Familia miała go odprowadzić jeszcze kawałek drogi, a nie dochodząc miasteczka cofnąć się, wsiaść w czekającą dryndę i wrócić do Warszawy.

Szli tedy wszyscy prędko, prędko, brzegiem plantu, po zmarzniętej grudzie ścieżki. Wiktor biegł przodem. Zdawało mu się, że już późno, że pociąg idzie... Wtedy biegł szybko...

Oni pospieszali za nim, naśladowując jego ruchy. Czasami znowu zwalniał kroku i mówił jeszcze urywanymi zdaniem, radził żonie zrobić to i tamto... Ona chciała jeszcze poruszyć tysiące rzeczy, miała nadzieję, że go co może zatrzyma, choćby na dzień, na parę godzin. Myśli w jej głowie splątały się i tak jak te płatki śniegu snuły po mózgu. Czuła w ustach, w gardle, wewnątrz siebie pałący smak wódki i jakieś odurzenie zmysłów. Było jej wszystko jedno, a razem taki żal! Serce ścisnęło się, jakby je cienka nić przewiązała i rznęła. Ale nade wszystkim stała nierozumna pewność, że cokolwiek kto kiedy zrobił na świecie i w jakimkolwiek celu, to ona jedna jedyna musi dźwigać ciężar tego wszystkiego. Musi wyżywić te dzieci. On, Wiktor, odchodzi. To nie ma gadania, musi... Och, jak pali ta wódka! Taki dym w głowie, taki głupi dym... Trzeba przecie rozumieć, co i dlaczego. Skoro urodziła dzieci, to je musi nieść na sobie. Jak to zwierzę, jak to zwierzę. Wiadoma rzecz. Ojciec może odejść, a ona nie. Ona matka. To się nazywa tak – matka. Rozumie się, że on musi iść, jeszcze jak się to rozumie! Pod sercem leży to rozumienie niby dziecko poczęte, jak rana leży otwarte, w którą się wieczny piasek sypie. We wnętrzu piersi leży zgoda na to odejście.

O kilkaset kroków przed pierwszymi domami miasteczka Wiktor zatrzymał się i rzekł, jako trzeba się już pożegnać... Głos jego drgnął.

Po obydwu stronach twardej i szerokiej szosy, na którą weszli, czerniały rokitnicy. Ciemnobrunatne, śliskie, okrągłe pręty ich gałązek tłukły się o drewna mocnej bariery pomalowanej czarną farbą. Był to okrutny, przejmujący głos. Wiatr ciał dołem, pod barierami, i zmiatał z drogi cienkie fałdy śniegowe, odsłaniając lód ciemny i grzebień grudy startej przez koła wozów.

– Wiktor – jęknęła Judymowa – nie rzucisz mię? Bój się ty Boga, Wiktor...

– Masz ci... teraz...

– Bo jakbyś mię *puścił kantem!*

– No i teraz pora na takie rzeczy... Kolej idzie! Trza przecie mieć rozum.

– Żebyś wiedział, że te dzieci, to przecie twoje... Wiktor, Wiktor... – łkała cichym, bojaźliwym, umierającym głosem.

– Ale napiszę, jak tylko pierwszą robotę dostanę. I pierwszy pieniądz to samo przyślę. Cóż ty myślisz...

Prędko ją objął, uściskał. Później dzieci.

Nim się obejrzeni, odszedł drogą. Wlekli się za nim, ale machnął ręką raz i drugi, nakazując im powrót. Z dala jeszcze raz krzyknął, żeby wracali, bo dryndziarz zniecierpliwi się i odjedzie. Stanęli tedy w miejscu i patrzeli na jego postać. Widać było palto odsiedziane, spodnie z nędznego kortu, wypchnięte na kolanach, szerokie, nie zakrywające cholewek kamaszków, kapelusz zrudziały, płaski „melon”. Tylko twarz już im zginęła.

Judymowa rzekła do dzieci wśród łkania:

– Widzicie, to ojciec tam idzie... To ojciec... tam...

Franka nie zdziwiła ani trochę ta wiadomość. Stał sobie najspokojniej i dłubał palcem w nosie.

Postać Judyma coraz słabiej czerniała wśród lecącego śniegu, wreszcie raptem zsunęła się za pochyłość gruntu i znikła z oczu.

---

<sup>29</sup> w stronę Sosnowca – w okresie zaborów na trasie kolei warszawsko-wiedeńskiej Sosnowiec był stacją graniczną w Królestwie Polskim. [przypis redakcyjny]

Wtedy Judymowa chwyciła Karolę za rękę i biegła z powrotem, żeby jak najmniej tracić czasu, za który płaciło się dorożkarzowi. Jęła przywoływać Franka, który z niekłamana satysfakcją puszczał na szosę bryłki zmarzniętej grudy...

## O świcie

Bardzo rano doktor Judym wybrał się na rewizję swoich zdechlaków we wsiach okolicznych. Miało to miejsce w pierwszych dniach kwietnia. Jeszcze łąki były mokre, role ciemne, na gościńcach kisiły głębokie bajora. Powiększał je drobny, nieustanny deszczyk, siejący mgłę ruchomą, lecącą z głębi płynnych, wolnych westchnień wietrzyka. Można było, skacząc tu i ówdzie przez rowy, czepiając się pleciaków<sup>30</sup>, iść bez zamoczenia choćby i kilka wiorst drogi.

Doktor miał na sobie ciepłą kurtę, a na nogach grube buty z cholewami. Szedł tonąc w srogich myślach i wygwizdując pewną znaną arię z takim fałszowaniem głównego motywu, jakie Europejczykowi mogło ująć na sucho tylko w okolicach Cisów, i to w szczerym polu. Droga ciągnęła się brzegiem lasu, po gruncie pagórkowatym i urwistym. To zapadła w wąwóz, to pięła się na wzgórze, to znowu jak prosty szew odcinała pole rozesłane na placu wykarczowanym w lesie. W nizinach o gruncie bardzo wilgotnym leżały już jasne murawy, budzące wspomnienie precudownego rumieńca życia na obliczu człowieka, który był w ciężkiej chorobie śmierci bliski. W działkach włościańskich stała jeszcze mokra martwota. Doktor pospieszał, żeby wejść na punkt wyższy, panujący nad okolicą, a to w celu zobaczenia tarczy słonecznej, która jeszcze nie wychyliła się zza przeciwległej góry, choć już płynęła nad ziemią.

W lesie, którego brzegiem postępował, chwiała się wilgoć wiosenna. Mchy wiszące na sękach świerków jak siwe, obmarzłe futra zimowe były mokre i co chwila kapały z nich ciemne krople. Tylko one sprawiały ruch między uspionymi drzewami. Zdawało się, że to z nich wydziela się ostry, wilgotny, leśny zapach. Tu i ówdzie na pniach wisały obdarte płyty kory, które wiosna niby brzydkie łachmany syciła wodą i wolno ściągała ku ziemi. Głębie przetrzebionego lasu zalegała jeszcze mokra ciemność, w której miętosił się opar leśny. Pnie osiczyny były jakies żółtawe. Graby od deszczu lśniły się i czerniały jak stal. Na jasnej podszczytowej korze sosen tworzyły się zacieki niby rysunki dziwnego kształtu, kontury jakichś rzeczy, sylwetki szczególnych twarzy... Między obmokłymi pniami i gęstwiną gałęzi zwisających pod ciężarem dżdżu przywabiała oczy, niby senna mara nie dająca się żadnym sposobem odegnąć, to brzoźka schylona, to młoda osika mnóstwem świeżych pąków obrzucona jakby rozżarzonymi węglami. W człowieku się coś cieszyło na widok tych drzewek i coś je pozdrawiało z głęboką czułością.

Doktor Judym czuł nawet, że w tym jest może trochę jakiego sentymentalizmu albo tam czego jeszcze gorszego, ale nie mógł na to poradzić.

„Pewno, że tego sentymentu – myślał – nie można ani krajać mikrotomem<sup>31</sup> ani zgoła obejrzeć pod mikroskopem, ale cóż z tego, kiedy sentyment istnieje i jest takim samym faktem spełnionym jak najlepiej opisany bakcyl”.

Zajęty tak pierwotnymi myślami wszedł między drzewa, usiadł na starym pniaku i czekał. Ciemne chmury tworzyły jakby włók szeroki, który ciągnął się od jednego do drugiego krańca widnokregu i zwisał długimi matniami. Każde ich oko wytrząsało deszcz sypki, ciepły, lecący jakoby puch. W głębi zostawał czysty przestwór, rozkoszna, seledynowa toń, w którą wcielała się purpura zorzy rannej. U samego brzegu dalekiego horyzontu pokazały się białe i rumiane obłoczki, budzące widokiem swoim dziwne wzruszenie, niby otwarte, przesłiczne oczy kobiece, gdy marzą. Było cicho, tak cicho, że dawało się słyszeć siąpienie cichego dżdżu w kałużach dziobatych od padających kropelek. Po ziemi sączyły się wszędy małe strumyki, jak dzieci pełne wesela, które nie wiedzą, z jakiej przyczyny i dokąd z radością w podskokach lecą.

<sup>30</sup> *pleciaki* – zapewne chodzi o plecione (np. z wikliny) płoty. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> *mikrotom* – aparat do krajania bardzo cienkich skrawków tkanek roślinnych czy zwierzęcych, które bada się pod mikroskopem. [przypis redakcyjny]

W tej ciszy ucho doktora uderzył szorstki odgłos turkotu wozu. Wkrótce na szczycie góry ukazały się konie okryte tumanem pary i bryczka. Konie były zdrożone, zachlastane tak błotem, że z gniadych stały się szarymi, bryczka unurzana w bagnie, a nawet furman i figura zajmująca siedzenie – dźwigali ślady długotrwałej podróży.

Judym wpatrzył się pilnie w rysy damy siedzącej na bryczce i poznał „osobę” z pałacu, pannę Joannę.

Miała na sobie francuski jasnozielony płaszczyk z kapiszonem. Ten kapiszon wciągnęła na głowę dla ochrony jej przed deszczem. Zdawała się drzemać.

Doktor żywo zaciekawiony, skąd może wracać panna Podborska o tej godzinie i drogą nie prowadzącą w stronę świata, półwiedząc, w jakim celu to czyni, wstał ze swego pniaka i szedł brzegiem gościńca naprzeciwko wolanta. Gdy był od niego w odległości kilku kroków, panną Joanna dźwignęła głowę i spostrzegła go. Na twarzy jej odmalował się wyraz pomieszania, a nawet jakby przestachu. W pierwszej chwili pociągnęła kaptur na oczy, później odwróciła głowę... Doktor pozdrowił ją ukłonem i z pytającym uśmiechem na ustach stanął przy bryczce.

– Cóż to za eskapada, panno Joanno? Skąd pani wraca?

– Jak pan widzi... Z podróży.

– Widzę, widzę nawet, że podróż musiała być daleka.

Furman zatrzymał konie. Przez chwilę panna Joanna skubała w zakłopotaniu brzeg okrywki. Na jej „niemożliwie”, jak mówiono, prawdomównej twarzy malowało się usiłowanie zatajenia czegoś. Rumieniec rozpałał się na policzkach. Rzekła cicho:

– Jeździłam do spowiedzi... do Woli Zameckiej.

– Aż do Woli? I dlaczegoż nocą? Niechże pani drugi raz tego nie robi. Któż widział?... Deszcz pada, chłód w nocy, pani cała zmoknięta. Proszę mi darować, że wchodzę nieproszony ze swą interwencją, ale jako lekarz uważam sobie za obowiązek zrobić tę uwagę.

Tymczasem robił ją z pobudek bynajmniej nie lekarskich. Serce mu biło w piersiach. Ta twarz ze spuszczonej oczyma w głębi zielonego kaptura, przepyszne, rozrzucone włosy, wysuwające się na czoło, a szczególnie oczy, oczy i płomień rumieńca... Było to jakby urok dziwnego lasu, jakby się łączyło ze słońcem, które zza mgieł wypływało nad cichą, senną leśną głąszą. Judym stał bezradnie przy stopniach bryczki i zmrużonymi oczyma wpatrywał się w płochliwe rysy.

– E, proszę łaski panienki, cóż ta ukrywać przed panem, przed doktorem... – rzekł znieacka furman odwracając się bokiem. – My nie do spowiedzi, proszę pana doktora, jeździli z panienką.

– Felek! – krzyknęła panna Podborska.

– Jeżeli sobie pani nie życzy... – rzekł Judym uchylając kapelusza. – Nie chciałbym zrobić najmniejszej przykrości.

– No, przecie się ta rzecz nie ukryje, choćby my na głowie stanęli. Już i tak ludzie mielią jęzorami... – prawił Felek.

– Cóż takiego?

– My jeździli, proszę pana doktora, szukać jaśnie panienki, panny Natalii.

– Jak to szukać? – szepnął Judym ze zdumieniem. – Jak to szukać?

Zamiast odpowiedzi panna Joanna zerwała się szybko i wysiadła z bryczki. Twarz jej była udęczona. Całe ciało trzęsło się jak w febrze. Dała Judymowi znać oczyma, że chce mu całą prawdę powiedzieć, ale nie wobec furmana. Odeszli kilka kroków drogą w górę. Felek zrozumiał swą rolę i wstrząsnął z lekka lejcami. Konie ruszyły i noga za nogą, wolniuteńko zstępowały ze wzgórze. Stukanie kół bryczki o korzenie sosen i świerków przerywających drogę zagłuszało rozmowę.

– Natałka – mówiła panna Joanna – odjechała z domu bez wiedzy babki.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.